



Krakowskie Legendy



Joanna Krzeczowska



Krakowskie Legendy

Joanna Krzeczowska





Copyrights © Joanna Krzeczowska

Do swobodnego kopiowania i rozpowszechniania.
Zezwalam na nieodpłatne rozpowszechnianie tej publikacji.

Zabraniam przekształcania, publikowania
w fragmentach lub innej niż elektroniczna formie
bez mojej i indywidualnej pisemnej zgody.

Edycja z dnia: 19 grudnia 2008

ABC-Kraków
Joanna Krzeczowska
tel. 505 305 966
asia@abc-krakow.pl || www.abc-krakow.pl

projekt okładki: Szymon Myalski
www.myalski.com





Spis treści

Spis treści
Na dzień dobry
Gość w dom, Bóg w dom
Historia pewnej miłości
Królowa Jadwiga i tajemniczy ślad
O krakowskich gołębiach
Kamień filozoficzny
Tajemne skarby podziemne
O obrotach sfer niebieskich
Legenda o piwnicy świdnickiej
Do zobaczenia





Na dzień dobry

Inspiracją do napisania poniższych legend była moja ulubiona książka z dzieciństwa o Krakowie autorstwa Bronisława Heyduka pod tytułem "Legendy i Opowieści o Krakowie". Od dawna nie jest wznawiana. Chciałam zatem przybliżyć najciekawsze legendy, tym, którzy ich nie znają, do tego uwspółcześnić nieco język pozostawiając jednak bardzo dużo archaicznych słów i wyrażeń, tych, które dodają smaku opowieści a za to nie zaciemniają treści współczesnemu czytelnikowi.

Wkroczenie ponownie w świat dawnych wydarzeń i słów zaowocowało autorską legendą o Piwnicy Świdnickiej - zainspirowaną jednym zdaniem, które według pewnej legendy padło kiedyś w Sali Poselskiej na Wawelu.

Legendy kojarzymy zazwyczaj z dawnymi, odległymi czasami. Pisane są nieco odmiennym, niż obecnie mówimy, językiem. Dzięki temu przenoszą nas w historyczne czasy, klimaty, miejsca.

A jednak ...





Przekonajmy się, że emocje, ludzkie losy chociaż w dawnych realiach osadzone niczym nie różnią się od naszych współczesnych wrażeń i problemów.

Próby charakteru, kuszenie złotem, nieszczęśliwe miłości. Świat legend w niezwykle sposób pokazuje nam jak na przestrzeni i wieków ludzkie serce pozostaje niezmiennie.

Życzę miłej lektury

Joanna Krzeczowska





Gość w dom, Bóg w dom

Gościnność, szacunek dla zdronzonych wędrowców.. to cecha, na którą stać każdego. Czy biedny czy bogaty. Warto pod swój dach przyjąć z honorami każdego, a dlaczego... oto opowieść.

Zdarzyło się że do jednej ze wsi podkrakowskich zawitał znużony drogą wędrowiec. A czas niespokojny, rzęsy deszcz zacinał, wiatr szarpał konarami drzew. Opończa podróżnego całkiem przemokła, a że i pod wieczór to było i noc nadciągała, począł szukać schronienia.

Pukał do drzwi zamożnych chłopów. Do chałup zasobnych i obszernych, lecz nikt nie chciał mu otworzyć. Ot, włóczęga, obcy, pewnie brudny. Przeciąg będzie, błota naniesie. Niech idzie dalej. Do sąsiada. Tam na pewno go przyjmą. Tak myśleli bogaci gospodarze, nie chcąc sobie czynić kłopotu.

A zatem nieznamy przemierzył tak całą wieś i w końcu, nie mając już prawie nadziei, zastukał do ostatniej, dość ubogiej i małej chatki, stojącej na skraju wsi.





Drzwi otwały się i młody mężczyzna zaprosił serdecznie wędrowca do środka domu. Wskazał miejsce przy kominię. Przeprosił również, że wieczerza nie za suta będzie. Ot, chleb razowy, kilka owoców, rzepa, niemniej z serca gościć pragnie on, jako gospodarz, zdrożonego nieznajomego. Tym bardziej, że żona synka właśnie powiła, więc czas szczególny w domu. Wędrowiec, na wieść o narodzinach syna chciał nawet wyruszyć dalej, by nie przeszkadzać rodzinie, lecz ubogi chłop nie chciał o tym słyszeć.. Tak, że nasz gość, znużony wielce, ostał w chacie. Posilił się, ogrzał ciepłem od pieca bijącym i usnął szybko.

Rano gospodarz nie pozwolił mu opuścić chaty bez śniadania, a i na drogę dał kawałek chleba. Wędrowiec podziękował gorąco, a pomny wydarzeń ostatniej nocy, zapytał chłopą kogo na chrzciny prosić będzie i jakie imię synowi przeznaczył.

Na to gospodarz rzekł, że imię to synowi nadać pragnie takie, jakie ma wędrowiec, skoro i on i syn tej samej nocy w jego zawitali progi. A na chrzciny nie bardzo ma kogo prosić, bo on przecież chłop ubogi, a tu wokół sami majątni gospodarze. Gdzieżby ich śmiał zapraszać.





A zatem nasz podróżny zapytał, czy on może być zaproszony i czy gospodarzowi nie będzie wstyd gdy on z żoną jutro przybędzie.

Chłop ucieszył się wielce. Rzekł, że nawet konia i wóz pożyczę i pojedą do chrztu jak sam król...

Nazajutrz koło południa wielkie poruszenie we wsi nastąpiło. Główną drogą wojska jadą. Zbroje lśnią, konie stukocą kopytami, falują na wietrze proporce. Część rycerstwa otacza zaś dwie pięknie zdobione karety.

Cała wieś więc wyległa, by przyglądać się pochodowi. A i pytania od razu się pojawiły. Któż to i z jakiej okazji przybył do nich. Może jakieś nowe opłaty, daniny, a może tylko tędy przejeżdżają, choć to przecież nie po drodze, do głównych traktów daleko.

A zdumienie rosło z każdą chwilą, bo cały orszak jechał szybko, nigdzie nie przystając. Zatrzymał się dopiero przy ubogiej chacie na końcu wsi, chacie najbiedniejszego gospodarza. I tu wielka niespodzianka, bo z karety wysiadł sam król Kazimierz, później zwany Wielkim. Wraz z małżonką swą...





Raz jeszcze dziękując za udzieloną gościnę para królewska wzięła nowo narodzonego synka i jego rodziców do karety i do chrztu pojechali faktycznie jak królowie.

A przyjęcie na wawelskim wzgórzu, w zamku króla się odbyło. Chrześniak króla Polski otrzymał zaiste królewskie podarki. A bogaci gospodarze mocno żałowali, że owej burzliwej nocy odmówili schronienia swojemu władcy.





Historia pewnej miłości

Historie miłosne splatają w sobie i radość i smutek. Spełnienie marzeń lub nieograniczoną tęsknotę. Wzruszają nas losy bohaterów, którzy nie mogą się odnaleźć pośród skomplikowanych labiryntów wydarzeń. Czy to dawne czy współczesne historie miłość pozostaje ta sama. Tęsknimy za nią, szukamy, walczymy o nią. Oto jedna z opowieści, związana z Krakowem i postaciami historycznymi.

Za króla Zygmunta Starego żył sobie waleczny rycerz Kmita. Pochodził on ze Śląska. Lecz jak to czasem bywa, na skutek licznych wojen, chorób i innych tragedii, ród jego podupadł... Wyruszył więc z domu szukać szczęścia. Wędrował po wielu krainach mniej i więcej chwalebnych, aż pewnego dnia dowiedział się, że w grodzie Kraków, na Wawelu odbędzie się turniej rycerski, na który zaprasza się wszystkich walecznych mężów...

Kmita postanowił wziąć udział w owych zawodach i skierował swe kroki do królewskiego miasta. Jednakże wygląd Kmity nie wzbudził zbyt dużego zaufania i entuzjazmu





u marszałka Wolskiego, który przed turniejem przyjął wędrowca...

Pochwalił on męstwo rycerza, lecz w wątpliwość poddał jego strój, ogólną prezencję i wartość oręża. Kmita jednak nie ustąpił, więc marszałek wobec tak stanowczej postawy skłonił głowę i dopuścił rycerza do walki.

Następnego dnia Kmita stanął w szranki na piaszczystym dziedzińcu wawelskiego zamku. Jednak choć turniej toczył się już od kilku godzin i coraz to nowi pokonani rycerze wycofywali się z walki, rękawica Kmity leżała na piasku nietknięta; nikt jej nie podejmował. Nikt nie chciał walczyć z ubogim rycerzem. Wstyd palił policzki młodzieńca. Zrozumiał teraz przed jakim wyzwaniem chciał go ochronić marszałek Wolski. Pojął też, że między możliwymi tego świata marną zajmuje pozycję...

W końcu marszałek czuwający nad przebiegiem zawodów kazał wypuścić dzikie zwierzęta, aby to w walce z nimi Kmita okazał swą waleczność i odwagę. Rycerz i jego rumak nie bali się krwiożerczych bestii. Kmita zwyciężył, choć koń jego padł rozszarpany a on sam odniósł rany głębokie... Honor jego rodu został jednak uratowany.





Dzielnego, rannego rycerza przeniesiono do komnat zamkowych. Tam też pod czułą opieką jednej z dwórek królowej dochodził do zdrowia. Pielęgnowała go panna młoda i bardzo piękna, a przy tym zaprawdę troskliwa. Czuła opieka przerozdziła się w czułe uczucie...

I tak rycerz wracał do zdrowia. Każdego dnia stan jego się poprawiał, lecz z kolei serce tego dzielnego, zaprawionego w wielu trudach męża stawało się coraz słabsze. Miłość wypełniała je do głębi.

Niestety panna była jedyną córką zamożnego bankiera Bonera i nie trudno się było domyślić, iż ojciec innego kawalera dla swej jedynaczki szykował. Ubogi rycerz z podupadłego rodu był zatem bez szans. Ponieważ i Bonerówna pokochała uczciwego, dobrego i przystojnego Kmitę, postanowił ojciec rozdzielić parę zakochanych. Mieli zatem pożegnać się i nigdy więcej nie zobaczyć... W czas pożegnania postawił rycerz przed ukochaną kosz z jednym pocztowym gołębiem. To ostatni gołąb, który pozostał z dwunastu jakie posiadał, kiedy wyruszył z rodzinnego gniazda, aby szukać szczęścia w świecie dalekim. I tymi słowami wyjaśnił dlaczego owego gołębia ofiaruje:

- Wędrowałem przez wiele krain, walczyłem, głodowałem, próbowałem odgadnąć swe przeznaczenie. Co jakiś czas





wysyłałem do matki mej gołębia z wiadomością o moim zdrowiu. Tego ostatniego chciałem wypuścić z Krakowa. Zdarzy się jednak inaczej. Dziś, kiedy los nas rozdziela; pozostawiam ostatniego gołębia tobie, ukochana moja. Nie dane mi było walczyć w Krakowie z innymi rycerzami, nie otrzymałem nagrody królewskiej, odniosłem rany... lecz wydarzyła się rzecz stokroć cudowniejsza; poznałem ciebie...

Wiem i rozumiem, że twój ojciec nigdy nie zgodzi się abym ciebie poślubił. Cóż więc mogę uczynić? Ty sama musisz wybrać. Wracam teraz na Śląsk, skąd pochodzę. Gołębia jak rzekłem, zostawiam. Będę oczekiwał listu od ciebie, kiedy taki się zjawi przybędę i choćby przemocą wyrwę cię z pałacu i uciekniemy. Jeżeli jednak serce twe znajdzie innego, jeżeli pośród rozrywek dworskich, balów, przyjęć zapomnisz o mnie, wtedy zabij ptaka, niech nie wraca do mnie.

Przyjęła Bonerówna gołębia, pocałunek rycerzowi przesłała i karetą powiozła ją do rodzinnego pałacu, który stał pod Krakowem. Kmita zaś wrócił do swego tak długo opuszczonego domostwa. I wyczekiwał ptaka, który miał zadecydować o jego losie.

Tak jak przewidział rycerz, ojciec jego ukochanej otoczył ją szczególną opieką. Spełniał każdą zachciankę córki.





W pałacu Bonerów bawiono się co dzień hucznie. To bale, to turnieje, koncerty i liczne uczty wystawne. Aż serce nie nadaża za taką ilością zdarzeń.

A jednak... wszystko na próżno. Zakochana panna nie może zapomnieć swojego rycerza. Jak ptak w złotej klatce więziony tęskni coraz bardziej i bardziej. Już wie, że Kmita jest miłością jej życia. Wie też, że nic nie powinno ich dzielić. Jest świadoma, że ani pałac, ani posag, ani zbytłowne stroje nie są w stanie zastąpić uczucia. Pisze zatem list do ukochanego. List czyły i pełen obietnic. W słoneczny świt, w niebo błękitne i czyste odlatuje gołąb wraz z listem, który przesądzi o losie dwojga zakochanych. Listem w którym zawarte słowa mają moc decydowania o życiu i śmierci.

A jednak przypadek sprawił, że w ten sam dzień z zamku królewskiego wyruszono w okolice pałacu Bonerów na polowanie. Tresowane sokoły rozszarpały pięknego gołębia niosącego tak ważną wiadomość. A list Bonerówny dostał się w ręce jej ojca.

Kmita nie otrzymał wieści o ukochanej i próżno wypatrywał powracającego gołębia. Tęsknota zakochanych rosła. Nie mając żadnych wiadomości od siebie, oskarżając się wzajemnie o zapomnienie – pograżali się w coraz głębszej rozpacz. W końcu Kmita nie mogąc już wytrzymać w domu





rodzinnym postanowił ponownie go opuścić i wyruszyć do-
kąd oczy poniosą... Męka rozstania może bowiem lżejszą się
okaże, gdy znów otoczą go nowe wyzwania, krainy, spotkania.

Droga jego ponownie wiodła przez Kraków. Czy to przypa-
dek czy los znów zaczął pisać w księdze życia zakochanych,
cóż, zdarzyło się, że gdy mijał okolice pałacu Bonerów pogo-
da gwałtownie się pogorszyła. Kmita zmuszony był szukać
noclegu w przydrożnej karczmie. Na miejscu dowiedział się,
że wokół owego pałacu dniem i nocą czuwają strażę. I pilnie
strzegą doń dostępu. Kmita zapytał z jakiegoż to powodu,
choć serce zabiło mu mocniej, coż to za skarb ów pałac za-
wiera. Odpowiedziano mu, że to jedynaczka, której ojciec
strzeże, bo zakochana jest ponoć wbrew woli ojca w jakimś
śląskim rycerzu, i uciec planuje.

Kmita nie znał przyczyny dla której nie otrzymał listu,
zrozumiał jednak, że list został wysłany, a serce Bonerówny
dalej jest mu wierne. Nie zważając na rozpoczynającą się
ulewę, ruszył w stronę pałacu. A nawałnica, siekący deszcz i
świsł wichury były jego sprzymierzeńcami. Zmylił strażę,
osłabione w takich warunkach. Dostał się do wnętrza pałacu,
na rękach wyniósł ukochaną, i odjechał konno, trzymając
dziewczynę przed sobą w siodle.





Nad ranem burza ucichła. I spostrzeżono ślady. Ruszyła szybka pogoń, którą prowadził sam Boner. W tym momencie kapryśny los znów odwrócił się od zakochanych. Koń Kmity, podwójnie obciążony ciężarem poślizgnął się na mokrej po ulewie drodze i okaleczył nogę. Nie mógł już tak szybko biec. Pogoń zbliżała się coraz bardziej. Rycerz nie chciał już więcej rozstawać się ze swą wybranką. Oszalały z żalu i rozpaczy wjechał na wysoką skałę, która stromo urywała się nad pobliską rzeką. Spiał konia ostrogami i runął w dół, trzymając w objęciach swą ukochaną. Zginęli oboje, w odmętach rzeki, która w tym miejscu była dzika i spieniona.

Nieopodal Balic i Zabierzowa wznosi się wapienna skała. Nosi nazwę Skały Kmity. Do dziś pamiętamy historię nieszczęśliwej miłości i tragicznej śmierci zakochanych.





Królowa Jadwiga i tajemniczy ślad

O naszej świętej królowej krąży wiele opowieści i legend. Niektóre wysławiają jej urodę i mądrość. Inne zajmują się historycznymi wydarzeniami, jak na przykład pomocą przy odnowieniu Akademii Krakowskiej, oraz zasługami dla polityki ówczesnego Królestwa Polskiego, a jeszcze inne chwalą jej pobożność.

Są też i takie, w których zdarzają się cuda...

A zatem nie tylko młodość ani też wyjątkowa uroda i mądrość lecz przede wszystkim wielkie serce zadecydowało o swoistym kulcie który otaczał królową.

Wrażliwa na ludzką tragedię znała cenę ludzkich wzruszeń i nieszczęść i w razie potrzeby bez wahania broniła najślabszych i uciśnionych. Miała świadomość, że krzywd, jakich doświadczają najubożsi nie da się wynagrodzić dobrami materialnymi.

A jednak często jedynie w ten sposób mogła pomóc...





Pewnego dnia na przedmieściu Krakowa, na tak zwanym „Pia-sku” ruszają prace przy budowie nowego kościoła. Jadwiga pragnie przyrzeć się budowie. A zatem wyrusza za mury miasta wraz z zaufaną ochmistrzynią. Na miejscu więcej niż kamieniom, czy stawianym ścianom, przygląda się pracującym ludziom... I dostrzega zasmucone i jakby nieobecne oblicze jednego z kamieniarzy. Podchodzi do niego i pyta o przyczynę jego zmartwienia. W odpowiedzi słyszy słowa o życiu pełnym trosk: chorobie żony, dzieciach bez opieki w domu i codziennej pracy, która ledwo pozwala związać koniec z końcem.

Wzruszona nakazuje ochmistrzyni pomóc biedakowi. I choć zrobiła coś dla zwykłego człowieka to czuje, że to wciąż za mało... W swoim sercu pragnie pomóc osobiście, teraz. Opiera zatem stopę na kamieniu i każe zdjąć sobie złotą kłamrę z trzewika. Tę złotą kłamrę wręcza zasmuconemu ojcu rodziny.

Po czym odchodzi. A obdarowany niespodzianie rzemieślnik wpatruje się w złoty dar i radości nie może pomieścić jego serce. A później przenosi wzrok na szary kamień, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywała smukła stopa dobrej królowej.

Ten kamień to milczący świadek całego zdarzenia. Wtem pod wpływem natchnienia kamieniarz postanawia odkuć w tym





oto kamieniu kształt stopy dobrodziejki. Aby pozostał ślad owego niezwykłego spotkania.

Gdy już ściany kościoła nabrały kształtów i ruszyły prace nad sklepieniem świątyni, kamieniarz pokazał i majstrowi i kolegom - kamieniarzom wmurowany w cokół budowy kamień z kształtem smukłej stopy...

Ów kamień wielkie wrażenie czyni. I wnet plotka, wieść nie-
sie się ulicami Krakowa. Cud na przedmieściu!

Nikt nie chce przyjąć do wiadomości, że owo wgłębienie w szarym gładzie to dzieło kamieniarza. Królowa Jadwiga, uważana przecież za opiekunkę ubogich, szeroko znana w najbiedniejszych dzielnicach Krakowa, zasługuje na cud. To przecież oczywistym się zdaje, że szlachetność królowej tak wielka, że nawet kamienie przed nią się skłaniają i miękną. Gromadzi się zatem biedota, gromadzą się skromni mieszkańcy wokół niedokończonyj jeszcze bryły kościoła.

Wzruszenie ich ogarnia. Kwiatami ozdabiają owo miejsce gdzie widzialny cud się dokonał. Łzy i radość towarzyszą cichym modlitwom.

Święta Pani z Wawelu!





Tak oto skromny kamieniarz przyczynił się do powstania pięknej opowieści. A do dziś na ścianie kościoła Karmelitów, na Piasku, przy ulicy Karmelickiej można zobaczyć to magiczne miejsce. Jedno z wielu, jakie kryje w sobie Kraków...





O krakowskich gołębiach

Gołębie. Krakowskie gołębie. Niegdyś hodowane i otaczane opieką; dziś budzą wśród mieszkańców miasta raczej negatywne emocje. A jednak przeszłość za nimi pełna chwały. To nie tylko zwykłe ptaki. To zaczarowani dworzanie. Skrzydlaci listonosze. Oto jedna z opowieści, która ze zwykłych gołębi krakowskich czyni bohaterów i świadków dawnych wydarzeń.

Zdarzało się w dawnych czasach, że Kraków często bywał oblężony przez nieprzyjacielskie wojska. Trwało to tygodniami, czasem nawet miesiącami. Miasto od dawien dawna piękne i zasobne budziło podziw u jednych, a chciwość i żądze władzy u drugich.

... podczas jednego z takich oblężeń:

Mieszkańcy Krakowa bronili się dzielnie, jednak zaczęło w mieście brakować żywności i widmo głodu zagrażało walecznym krakowianom. Trwoga powoli ogarniała obrońców miasta. Kiedy sytuacja zrobiła się tragiczna zaczęto nawet chwycić gołębie miejskie. I ubywało tych tak typowych dla





naszego miasta ptaków. W końcu jednak rajcy miejscy zabronili łapania gołębi. Niektórzy bowiem pomyśleli, że przecież gołębie, jako że nie straszne im mury i oblężenie, mogą swobodnie się przemieszczać. I przynosić pożywienie mieszkańcom. Wiele tego nie będzie, ot kilka ziaren grochu, fasoli, zboża ...

Im dłużej trwało oblężenie, tym o nadzieję w grodzie było coraz trudniej. W końcu jeden z odważnych obrońców z narażeniem życia, w przebraniu przekradł się za mury. Ze sobą wziął sześć gołębi.

Za kilka dni mieszkańcy radością powitali jednego ze skrzydlatych listonoszy. Zmęczony podróżą ptak usiadł na dachu jednej z kamienic przy Rynku. Szybko jeden z mieszczan poszedł po gołębia i odczytano wszystkim wiadomość: „Odsiecz w drodze. Sześć dni marszu.”

Wielka radość zapanowała w mieście. Odwaga, otucha wstąpiły w serca mieszkańców. Przez kolejne kilka dni przybywali do grodu następni skrzydlaci listonosze, niosąc ze sobą informacje o zbliżającym się ratunku dla umęczonych krakowian. I tak liczono z radością jeszcze tylko pięć dni, jeszcze cztery, trzy, dwa. Wieczorem przed dniem, w którym miało nadejść wybawienie na wieży jednego z kościołów usiadł biały gołąb.





Nikt nawet nie kwapił się aby ptaka ściągnąć.

Nikt już nie czytał listu. Całe miasto szykowało się do tego, aby jutro skoro świt zaatakować oblegającego je wroga i tak, biorąc nieprzyjaciela w dwa ognie, przyjść z pomocą odsieczy.

Jak tylko słońce wstało mieszkańcy uderzyli z odwagą jaką czasem daje nam świadomość bliskiej pomocy. Zaskoczony nieprzyjaciel, który sądził, że mieszczanie są już dawno wyczerpani i u kresu sił, począł się w nieładzie wycofywać, zostawiając za sobą bogate wozy, pełne zrabowanych po drogach łupów. Kraków był wolny.

Wieczorem, kiedy hucznie świętowano zwycięstwo, któryś z mieszkańców zdjął w końcu z nogi gołębia ostatnią wiadomość. W zdumieniu odczytano „Odsiecz zatrzymały rozlane rzeki. Poddajcie miasto.”





Kamień filozoficzny

Od dawien dawna uczeni marzyli o wynalezieniu substancji, która pozwoliłaby przemieniać metale nieszlachetne w najcenniejszy kruszec – złoto. Nazywali ją kamieniem filozoficznym. Ów kamień, miał być też głównym składnikiem eliksiru zapewniającego nieśmiertelność.

Jego poszukiwania rozpałały wyobraźnię wielu pokoleń badaczy. Któż nie chciałby żyć wiecznie i być przy tym bajecznie bogatym? Alchemicy, którzy zajmowali się spełnieniem tego marzenia, cieszyli się łaskami panujących książąt i królów. Do dobrego tonu należało mieć na dworze taką osobę.

I oto wiek XVII przyniósł historię niezwyklej przyjaźni dwóch alchemików.

Z początkiem tegoż wieku wśród alchemików rozniosła się wieść, że jeden z mistrzów alchemii, niejaki Seton, odkrył sekret kamienia filozoficznego. Spełnione zatem zostało marzenie wielu pokoleń mistrzów wiedzy tajemnej.





Jednak zdolności mistrza tak wiele emocji budziły u elektora saskiego, na którego dworze akurat przebywał, że Seton został uwięziony w Dreźnie i był poddawany torturom, które miały wymóc na nim wyjawienie sekretu. Elektor sam dla siebie chciał osiąść moc transmutacji metali. Mimo okrutnych tortur Seton nie uchylił rąbka tajemnicy.

Wiść o tym doszła do Krakowa, do uszu znanego polskiego alchemika, Michała Sędziwoja, który to od dawna śledził poczynania Setona, uważając go za mistrza. Korzystając ze zgromadzonych bogactw i licznych koneksji, Michałowi udało dostać się na dwór drezdeński. Tam elokwencją i bogactwem oczarował samego elektora czym zaskarbił sobie jego zaufanie. Wkrótce potem wydał Sędziwój wielką ucztę dla wszystkich zgromadzonych wokół saskiego elektora.

Kiedy już wszyscy mieli w czubie, łącznie ze strażnikami i komendantem więzienia; Sędziwój odbił z lochów udręczonego i osłabionego licznymi torturami mistrza Setona.

Przywiózł go do Krakowa i tam pielęgnował. Niestety mimo troskliwej opieki Seton zmarł. Wcześniej jednak, na łożu śmierci obdarował Sędziwoja niezwykłą substancją, która zaiste posiadała moc przemiany pospolitych metali w złoto. Tajemnicy jednak mu nie wyjawiał, uznał bowiem iż Sędziwój





sam do niej dotrze. Nic tak bowiem nie cieszy prawdziwego uczonego jak własne odkrycie tajemnicy.

Pełen żalu po śmierci mistrza postanowił Sędziwój za wszelką cenę odkryć tajemnicę otrzymanej substancji. Aby zyskać poparcie króla polskiego Zygmunta III Wazy i środki na dalsze badania; udał się na Wawel i tam w obecności króla i jego dworu przemienił kilka srebrnych monet w złoto.

Pokaz zrobił należyte wrażenie, i co ważniejsze potwierdził iż Seton naprawdę zgłębił tajemnicę kamienia filozoficznego. Substancji owej jednak nie starczyło na długo, zużyta do licznych badań, szybko się wyczerpała.

Alchemik rozmyślał dniami i nocami, lecz nie udało mu się odgadnąć zestawu zastosowanych do jej stworzenia składników. W końcu Sędziwój poddał się. Tajemnica pozostała tajemnicą.





Tajemne skarby podziemne

Ma Kraków wiele piwnic. Piwnic tajemnych i mrocznych. Żadne z nich nie cieszyły się jednak w dawnych czasach tak ponurą sławą jak piwnice pałacu pod Krzysztofony. Rozległe i pełne zakamarków, zwodnych korytarzy i ślepych zaułków pobudzały wyobraźnię mieszkańców Krakowa. Krążyły liczne opowieści o duchach, o skarbach ukrytych, o samym diable Borutą zwanym, strzegącym złota.

Pałac był często miejscem balów. Służba, która przygotowywała owe biesiady zawsze niechętnie do piwnic schodziła, lecz wina trzeba było od czasu do czasu przynieść uczującym na górze panom. Był wśród służby jeden Błazej, który co nieco słyszał o skarbach ukrytych w piwnicach pałacu.

Jednego razu został posłany z parobkiem do piwnic, by puste gąsiory zamienić na pełne. Kiedy znaleźli się w podziemiach, coś przeciągle zawyło, podmuch wiatru zgasił pochodnię, parobek z krzykiem uciekł a Błazej został sam w ciemnościach. Nie tracąc rezonu zaczął iść w stronę, jak mu się wydawało,





wyjścia, lecz ... na mur trafił. Nie poddając się inny obrał kierunek i nagle dostrzegł przed sobą jakąś poświatę.

Wiedziony przeczuciem, że trafił na ślad ukrytych skarbów bez wahania podążył w kierunku blasku. I nagle stanął w komnacie tak pełnej światła, że oczy nieprzyzwyczajone do takiej jasności musiał osłonić dłonią. Pierwsze co po chwili dostrzegł to skarby nieprzebrane, wory złotych dukatów, puchary drogocenne, kamienie szlachetne w kolorach tęczy leżące tuż u jego stóp. Dopiero później za stołem, stojącym pośród całego bogactwa, zobaczył szlachcica zajętego liczeniem pieniędzy. Na jednej nodze postać owa miała but na obcasie i z cholewą, druga zaś noga jakaś dziwna, o zgrozo, kopytem czarnym jak u konia zakończona.

Prawdę powiadali. Diabeł sam diabeł strzeże tych skarbów! Krzyknął ze strachu Błażej a Boruta głowę podniósł i warknął.

- Zmyliłeś mi rachunek. Ale byś nie wygadał nikomu coś tu widział, masz.

I rzucił w niego sakiewką pełną złotych dukatów.

Błażej wrócił do domu. Nic nikomu nie mówiąc, jak obiecał. Lecz po kilku dniach rozpałała go ciekawość. I chciwość. Pragnął więcej. Za otrzymane złoto jednego wieczoru popił wie-





le i odwagi nabrał. Dwóm pacholkom, kompanom od kieliszka, wyjawiał tajemnice i we trzech postanowili zakraść się do piwnic i wziąć tyle złota ile zdołają unieść. Przygotowali się odpowiednio do tej niebezpiecznej wyprawy. Wodą święconą pokropieni, szkaplerzami obwieszeni, z kredą święconą w kieszeniach; zeszli do piwnic pałacowych. Po długiej wędrówce znaleźli salę ze złotem.

U cieszył się wielce Boruta na ich widok, rad, że złoto znów swą rolę spełniło, skusiło, zamąciło umysły i przyprowadziło do niego już nie jednego, lecz trzech śmiazków, nieświadomych jak słabi są wobec diabelskich mocy.

Uśmiechnął się złowróźnie i rzekł:

- Proszę, bierzcie ile chcecie, rad się z wami podzielę – i zaśmiał się szyderczo.

Podeszli więc do stosów złota i próbują wziąć do ręki dukaty lecz o zgrozo, nie dadzą się ruszyć. A Boruta śmieje się coraz głośniejsze i tak rzecze:

– Nie ruszycie tych monet, jeśli na sobie święcone szaty macie, dalej ściągajcie z siebie wszystko, co poświęcone a dopiero wtedy będziecie mogli złota nabrać ile zdołacie. Posłuchali go radzi i nie radzi.

I stanęli przed nim nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. Lecz teraz jak złoto brać. Do czego ?





Lecz Boruta nie przejmował się bynajmniej ich dylematem. Pozbawionych boskiej mocy i opieki miał w garści; gromkim głosem wypowiedział jakieś zaklęcie i cała komnata zaczęła się trząść w posadach i walące się mury pogrzebały żywcem trzech chciwych śmiałków.

Nigdy ich ciał nie odnaleziono. Ot, ku przestrodze, by chciwość nie zaćmiła oczu do dziś opowiada się tę historię w Krakowie.





O obrotach sfer niebieskich

Krakowskie piwiarnie, szynki czy piwnice były świadkami wielu niezwykłych rozmów, sporów i odkryć. To w Krakowie doszło do spotkania trzech niezwykłych postaci. Polskiego szlachcica zajmującego się czarnoksięstwem – imć pana Twardowskiego, który to zaprzedał dusze diabłu w zamian za wiedzę i bogactwo, młodego astronoma Mikołaja Kopernika i sławnego na cały świat doktora Fausta, którego los wielce podobny był do losu Twardowskiego.

Twardowski bawił w Krakowie, a Faust, do którego uszu doszła wieść o sławie "kamrata po fachu"; przybył do grodu Krakowa chcąc wybadać jak to z famą Twardowskiego naprawdę jest. Spotkanie dwóch mistrzów miało miejsce w jednej z piwnic Krakowa, słynącej z dobrych trunków. Faust już zasiadał za stołem, gdy do karczmy wszedł słusznej postury, malowniczo ubrany szlachcic - Twardowski. Rozpoznał on od razu Fausta i serdecznie przywitał – co z kolei słynnego doktora wprowadziło w mocne pomieszanie. Zrozumiał, bowiem, że godnego rywala w osobie Twardowskiego posiada, skoro ów rozpoznał go od razu, a może i zamiary ukryte też poznał.





Lecz rychło panowie się dogadali między sobą - w czym znaczne miody i przednie piwo pomogły. Zachęceni przez ciżbę zgromadzoną tłumnie w piwnicy, zaczęli rywalizować w sztukach magicznych. Zaczęły się pokazy czarnoksięstwa. Pojawiły się niezwykle obrazy, to dukaty w kieszeniach, korony na głowach zgromadzonych, ognie magiczne; lecz wszystko to iluzją było i na głos każdego z mistrzów rozwiewało się w szarej mgle.

W końcu Faust znużony rzekł:

- Macie tu w Krakowie pewnego młodego studenta, astronoma, wielce uczonego i sprawami naprawdę poważnymi się zajmującego. To prawdziwy mistrz i "czarodziej nauki". Wielce rad byłbym z nim porozmawiać. Mikołajem go wołają.

I już karczmarz zachęcony prawdziwym dukatem prowadzi do młodego uczonego, który z kąta cicho przyglądał się magicznym sztuczkom. Długo Faust z Mikołajem Kopernikiem rozmawiał, aż tłum w karczmie zaczął się niecierpliwić, żądny znów niecodziennych pokazów. Lecz Faust zatopiony w rozmowie jakby ich nie słyszał.

Noc już późna zapadła i goście poczuli się rozchodzić. Twardowski podszedł do Fausta i Kopernika i razem wyszli w noc





od gwiazd błyszcząca. Kopernik spojrział na niebo i westchnął, iż rad by z wieży jakiejś na niebo spojrzeć. Twardowski mu na to rzekł:

–Toż Ratuszowa wieża blisko, chodźmy tam.

Strażom dukata dał i sam, choć mocno już w czubie miał, jął pierwszy schodami na wieżę wychodzić. Za nim kroczyli Faust z Kopernikiem. Stanęli w trójkę na szczycie zachwyceni rozległym widokiem i ciszą niezwykłą. W towarzystwie gwiazd i tajemnic nieba nawet Twardowski stał się na chwilę milczący.

W końcu Kopernik zaczął mówić o swojej nowej teorii. O tym, że planety to ciała okrągłe i każda z nich także i Ziemia, dookoła Słońca zgodnie ze swą orbitą się kręci. Słońce zaś nieruchomym jest. Twardowski snadnie poznał, iż o tym musieli wcześniej rozmawiać dwaj mistrzowie. Sam mocno chwiejny w nogach na koniec wywodu Kopernika rzekł:

- Moja głowa okrągła i też się kręci, pod nogami mi się kręci, toż to faktem jest, iż cały świat się kręci. Prawda to Mikołaju, chłopcze. Że też nikt na to wcześniej nie wpadł.

Tak to Faust i Twardowski byli pierwszymi, którzy poznali nową teorię Kopernika. Przyjęli ją zgodnie, lecz każdy z nich innymi argumentami przekonany został.





Legenda o piwnicy świdnickiej

Sebastian Tauerbach i Hans Sznycerz stanęli przed Ratuszem lekko zaniepokojeni. Gwar niosący się ze środka był może i zachęcający ale jednocześnie jakimiś groźnymi rykami przerywany. Chociaż przyjezdni, wiedzieli już, że niezwykle sławą cieszy się owa ratuszowa piwnica, Świdnicką zwana. Albo też i przez szacowne matrony spelunca latronum – czyli jaskinią złodziejską.

Warchołów, hultajów, banitów, rzezimieszków, ale też i uczciwych mieszkańców Krakowa przyciągało tu piwo wyborne, ze Świdnicy sprowadzane i wina przeróżne. Sebastian i Hans zostali i zachęcani i ostrzeżeni przed tym miejscem, lecz zadanie, którego się podjęli zrobione być musiało. Oto na zamówienie króla mieli ozdobić strop w jednej z najznamienitszych sal wawelskiego zamku - Sali Poselskiej.

Ozdobić nie byle jak, w każdym kasetonie, a jest ich 194 ma pojawić się inna rzeźbiona głowa o niebanalnej fizjonomii. Gdzie takowych szukać? Wszak to liczba całkiem spora.

I oto wpadli na pomysł by od karczmy zacząć, tam ludzi





popytać i może już i pierwszych szkiców popróbować. Ot, taki koncept mieli artyści.

Weszli i jak tylko oczy przyzwyczyły się do światła panującego wewnątrz wiedzieli, że dobrze trafili. Nie dość, że tłum to co jedna twarz to ciekawsza.

Różne fizjonomie o intrygujących rysach. Charaktery niezwykle wypisane przez los na twarzach, pociętych głębokimi bruzdami. Życie, najznamienitszy rzeźbiarz swoje historie zapisuje w taki właśnie sposób. Och co za bogactwo form.

Jak tylko usiedli, podszedł do nich gospodarz a widząc nieznanomych zaczął im opowiadać kim są poszczególni goście.

Tu jeden możny, w opończy, szukający zwady w kącie przysiadł ze swymi ludźmi i tylko węszy kiedy wszcząć bijatykę. To znów stały bywalec, znany złodziejasek z innym kamratem chyłkiem rozglądają się, badając zasobność kieszeni przechodzących koło nich gości.

I żebrak też się zdarzy, a raczej przebrany za żebraka powszechnie znany krakowianom piekarz, który na naiwności nieznanomych żeruje i za otrzymane datki niejednego już dobrego trunku próbował. A jakich historii, jakich anegdot na-





śłuchać się można. Parę godzin minęło i już teczka artystów zapelniła się szkicami.

Wzrok Sebastiana przykuła nagle postać kobieca. Nie młoda, nie stara, pojawiła się nagle w piwnicy – by jak to gospodarz wyjaśnił - męża swego od kufla odciągnąć, by rano do pracy miał zapał. Jej twarz promieniała taką uczciwością, że Sebastian zapytał czy gospodarz czegoś więcej nie wie o tej kobiecie i dodał też, iż chciałby ją naszkicować. Karczmarz rozgadał się i pełen podziwu ją opowiadać. O to jest kobieta się o odwadze nieprzeciętnej. Może i pyskata lekko, jak każda baba, lecz za to uczciwie broniąca każdego.

Opowiadano o niej, że nieraz bez obawy potrafiła możnemu na ulicy zwrócić uwagę, gdy ów nieuczciwie potraktował biedaka. Powszechnie w Krakowie szanowana.

Kobieta oczekując aż mąż zbierze się do wyjścia, pozwoliła Sebastianowi naszkicować swą twarz. Rad był wielce nasz artysta - wydawała mu się bowiem jasną iskrą pośród całego mroku panującego w ratuszowej piwnicy ...

Za parę tygodni wrócił Sebastian do rodzinnego miasta. Żał mu było Kraków opuszczać, lecz cóż, zadanie zostało wykonane, przychylnie przyjęte, a i sakiewka pełna. Czas rodzinę





zobaczyć.

Minęło kilka dni, gdy do uszu Sebastiana dotarła niezwykła opowieść. Jak Polska długa i szeroka opowiadano o cudzie na Wawelu. Zdarzył się on w Sali Poselskiej, kiedy to król Zygmunt August sądził biedną kobietę podejrzaną o kradzież kosztowności z zamożnego domu. Kobieta łzami się zalewała, przysięgając iż jest niewinna, że oskarżyciele kosztowności schowali, a ją oskarżyli z czystej złośliwości; lecz jej ubogi stan świadczył tylko przeciwko niej a oskarżyciel, możny pan, tak zgrabnych argumentów używał, że króla do swoich racji przekonał. Już król chciał wydać wyrok skazujący gdy nagle z góry, ze stropu ozdobionego głowami mieszczan krakowskich odezwał się głos:

- Rex Auguste, iudica iuste – królu Auguście, sądz sprawiedliwie.

Zdumieni się wszyscy zgromadzeni, a kiedy spojrzeli na sufit nie mieli wątpliwości, która z głów przemówiła. Zobaczyli, bowiem głowę kobiety, nie młodej i nie starej; na jej twarzy malował się wyraz świętego oburzenia.

Uśmiechnął się Sebastian słysząc tę opowieść, przed oczami stanęła mu od razu jasna twarz niewieścia, w piwnicy świdnickiej poznana. Uczciwość sportretowanej wówczas kobiety tak





wielką była, iż nawet w drewnie wyrzeźbiona twarz jej charakter zachowała i na krzywdę ludzką nie mogła patrzeć bez słowa.

A na wszelki wypadek król Zygmunt August, kazał opaskę na usta owej głowie wyrzeźbić i taką po dziś dzień oglądać możemy.





Do zobaczenia

Takich legend jest więcej. A nieporównywalnie inaczej słucha się ich w krakowskim klimacie. W otoczeniu miejsc będących świadkami opowiadanych historii. Dlatego zapraszam serdecznie do Krakowa.

A wcześniej na moją stronę, gdzie znajdziesz więcej impresji związanych z moim rodzinnym miastem.

Zapraszam na <http://www.abc-krakow.pl>



